CO SŁYCHAĆ?

INFORMATOR POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO numer 8 (212) sierpień 2008

Tekst: ***Włodzimierz Janusik***

Tragedia w masywie Marmolady

Był piękny pogodny ranek, poniedziałek 11 sierpnia 2008 r. Nic nie zapowiadało tragicznych wydarzeń. Tomek Mazur wraz z żoną Leną wybrali się na główny wierzchołek Marmolady, Punta Penia (3343 m). Wyruszyli z kempingu w Corvarze. Pozostałych czterech jego towarzyszy miało inne plany i grupa nie poszła razem. Kolejką gondolową wjechali z nad jeziora Lago di Fedaia do górnej stacji Pian Fiacconi (2625 m). Drogę przez lodowiec pokonali bez większych trudności i po przejściu szczeliny brzeżnej znaleźli się na ostrodze skalnej, po pokonaniu której mieli już stąd prostą drogę na wierzchołek.

Zdobycie Marmolady sprawiło im ogromną radość, tym bardziej, ze weszli bez problemów i w dobrej kondycji. Wykonali zdjęcia pod stojącym tam krzyżem, gdzie fotografują się wszyscy turyści. Zaczęli schodzić ferratą na Przełęcz Marmolada (For. Marmolada 2896 m). Grań jest tam ubezpieczona stalową liną, a na gładkiej skale są wbite stalowe pręty i klamry, które tworzą charakterystyczne drabiny. Ferrata ta w normalnych warunkach pogodowych należy do łatwych i im też nie przysporzyła problemów. Doszli na przełęcz, gdzie rozwidlają się dwa szlaki, na zachód prowadzi łatwa droga turystyczna do schroniska Contrin (2016 m), a skosem w dół, droga do Pian Fiacconi, górnej stacji kolejki gondolowej. Tą drogą postanowili schodzić. Droga zejściowa prowadzi kotłem Sot Vernel przez resztki dużego kiedyś lodowca. Dariusz Tkaczyk tak opisuje drogę: ”Ponieważ lodowiec jest częściowo wytopiony i brak jest pokrywy śnieżnej doskonale widać szczeliny, które można z łatwością ominąć”. Jednak opis ten był robiony 10 lat temu i w tej chwili ze względu na globalne zmiany klimatyczne – wielkie ocieplenie, lodowce gwałtownie się topią. Powoduje to ich szybki ruch i powstawanie licznych głębokich szczelin, które mają jeszcze tendencje do gwałtownych zmian swego położenia. Początkowy fragment zejściowy jest ubezpieczony stalową liną, ale turyści ze względu na pozorną łatwość trasy rzadko się w nią wpinają. Lina zaczyna się blisko skały, pomiędzy wielkim kamieniem a ostrogą skalną ograniczającą lodowiec. Łatwiejszą wydaje się droga piarżystym żlebem wyprowadzającym na lodowiec. Niestety, to tylko pozory. Tą drogą zaczął schodzić Tomek. Drobne kamienie i glina oraz duże nachylenie żlebu (brak ubezpieczenia – stalowa lina pozostała po jego lewej ręce, przy skale) sprawiły, że w pewnym momencie Tomasz zaczął się osuwać. Pech chciał, że kilkanaście metrów niżej znajdowała się głęboka na 10 metrów szczelina. Wołał „Lena..., Lenka...” i to już był koniec. Zapanowała złowieszcza cisza. Lena zdrętwiała w przerażeniu. Gdzie Tomek? Chciała iść na pomoc, wierzyła, że tam w czeluściach szczeliny mąż żyje. Przypadkowo spotkany czeski turysta wskazał jej drogę w kierunku liny przy skale. Dał jej również fragment mapy, na której wyrył kamieniem miejsce zdarzenia. Lena miała łatwą drogę do schroniska Contrin, ale trzeba było się wrócić kilkanaście metrów na przełęcz. W dole zobaczyła jezioro i tam się skierowała. Od wschodu kocioł jest ograniczony dużą ostrogą skalną, która uniemożliwia kontakt wzrokowy z kolejką i jej górną stacją. Należy zejść po lodowcu, obejść ostrogę i skierować się na prawo w kierunku stacji. Niestety, Lena o tym nie wiedziała i poszła na lewo, gdzie bez szlaku szła przez wyschnięte koryta rzek, zawracała, wątpiła, ale prowadziła i umacniała ją wielka wiara, że Tomek żyje. Dużo niżej dotarła do znakowanej ścieżki i po przebyciu około 20 km dotarła do schroniska Rif. Villetta Maria (1681 m), tuż przy drodze do Canacei. Była bardzo zmęczona i zszokowana. Miała duże trudności językowe. Była totalnie zagubiona, zdezorientowana i nie była w stanie pomóc ratownikom. Wezwano helikopter, którym pojechała w stronę miejsca wypadku. Góry z helikoptera wyglądają zupełnie inaczej, a do tego doszły problemy z komunikowaniem się z załogą. Helikopter zawrócił do schroniska, a dwie grupy ratowników rozdzieliły się i prowadziły poszukiwania na lodowcu. W schronisku czekała już tłumaczka (Polka

(ciąg dalszy na str. 3)

CO SŁYCHAĆ w numerze:

ZGINĄŁ TOMASZ MAZUR – PREZES ODDZIAŁU AKADEMICKIEGO PTT W RADOMIU

Bliżej słońca, czyli Oszchomaho (5642 m n.p.m.)

Śladami wulkanów i antyku

Tekst: ***Barbara Morawska-Nowak***, zdjęcie: ***archiwum Oddziału Akademickiego PTT w Radomiu***

Kochał góry i matematykę...

Miał 55 lat i wydawało się, że osiągnął wszystko o czym marzył. Wspiął się po szczeblach kariery naukowej, ułożył sobie szczęśliwie życie, cieszył się autorytetem i sympatią swych przyjaciół, kolegów, uczniów i górskich towarzyszy. Zapewne czuł się spełniony gdy przy przepięknej pogodzie podziwiał rozległe widoki z najwyższego wierzchołka Marmolady. Nie spodziewał się, że śmierć czyhała na niego pięćset metrów niżej.

Tomasz Mazur urodził się 2 maja 1953 r. w Radomiu. Tam ukończył IV Liceum Ogólnokształcące im. Tytusa Chałubińskiego. Studiował w Instytucie Matematyki na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Po ukończeniu studiów w roku 1977 rozpoczął pracę jako asystent stażysta w Wyższej Szkole Inżynierskiej im. Kazimierza Puławskiego w Radomiu. Przeszedł w tej Szkole, obecnej Politechnice, wszystkie stopnie kariery naukowo-dydaktycznej, aż do stanowiska profesora nadzwyczajnego Politechniki Radomskiej. Doktorat z zakresu analizy matematycznej obronił w 1985 r. na Uniwersytecie Jagiellońskim, tam też w roku 2000 habilitował się .

Od początku wykazywał nadzwyczajną pasję w kierunku matematyki, w szczególności analizy matematycznej. Swoją głęboką wiedzą dzielił się z entuzjazmem ze studentami. W rozmowach z kolegami wykazywał nie tylko znawstwo umiłowanej dyscypliny naukowej, ale potrafił o niej ciekawie opowiadać przypominając różne historie i anegdoty.

Był asystentem, uczniem i bliskim współpracownikiem prof. Macieja Skwarczyńskiego, z którym wspólnie przez 20 lat organizowali międzynarodowe konferencje z analizy klasycznej w Kazimierzu Dolnym. Redagował i wydawał materiały pokonferencyjne. W roku 2001 z prof. Skwarczyńskim napisali i wydali piękną książkę pt. „Wstępne twierdzenia teorii funkcji wielu zmiennych zespolonych", jedną z bardzo nielicznych publikacji w języku polskim na ten temat.

W roku 2001 rozpoczął pracę w Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie; od 2004 r. jako profesor nadzwyczajny. Właśnie odszedł z Politechniki Radomskiej. Miał duże osiągnięcia jako dydaktyk matematyki. Uważał, że nauczanie matematyki na wszystkich szczeblach edukacji powinno stanowić spójną całość. Zaangażował się w działalność Stowarzyszenia Nauczycieli Matematyki i w roku 2003 roku został prezesem Radomskiego Oddziału Stowarzyszenia. Interesowały go zmiany w oświacie i relacje nauczyciel-uczeń. Miał czas dla jednych i drugich. W 2005 roku, pod redakcją naukową Tomasza Mazura ukazały się materiały z konferencji w Kozienicach poświęconej matematyce i jej nauczaniu pod tytułem „Matematyka a rozwój intelektualny człowieka".

Tomek Mazur ukochał góry. Od czasów studenckich z zamiłowaniem uprawiał narciarstwo i turystykę górską. Swoją pasją starał się zarazić innych. Prawie co roku od ponad 20 lat organizował grupowe wyjazdy na narty i letnie wyjazdy dla pracowników, ich dzieci i studentów Politechniki. Organizował sobotnio-niedzielne wycieczki w okolicach Radomia i po Górach Świętokrzyskich. Jeździł w góry z młodzieżą szkolną. Współorganizował spływy kajakowe.

Gdy w roku 1993 powstał Oddział PTT w Radomiu zaczął działać w naszym Towarzystwie. W latach 1998-2004 był członkiem Zarządu Głównego PTT. Od 1994 roku pełnił nieprzerwanie funkcję prezesa Oddziału Akademickiego PTT przy Politechnice Radomskiej.

Organizował i współorganizował wyprawy w góry Polski i Europy. Zorganizował 4 wyprawy w Dolomity, Alpy i Pireneje. Jakieś 10 lat temu miał poważny wypadek drogowy pod Wiedniem, miał złamany kręgosłup i długo dochodził do formy, ale z gór nie zrezygnował.

Był wspaniałym człowiekiem. Robił na mnie wrażenie nieśmiałego i niepozornego; może tak blisko go nie znałam. Ci, dla których był liderem w PTT chwalą go za bezpośredniość i życzliwość. Był młody duchem, a jego zapał udzielał się wszystkim, którzy go znali.

Był bardzo dobrym ojcem. Osierocił dwójkę dzieci.

Tragiczna śmierć Tomka była dla nas wszystkich ogromnym szokiem.

PS. Dziękuję koledze Stanisławowi Krokowi i jego córce Annie za udostępnienie materiałów biograficznych, które umożliwiły napisanie tych kilku zdań o Tomku.

■

(dokończenie ze str. 1)

pracująca na kempingu w Canacei). Razem wystartowali ponownie. Tym razem udało się wylądować w okolicach szczeliny. Ratownicy spuścili się do szczeliny gdzie niestety stwierdzili śmierć Tomka. Doznał złamania obu nóg i pęknięcia podstawy czaszki. Śmierć nastąpiła w ciągu kilku sekund.

Ponieważ zapadał zmrok (było po 21:00), akcję odłożono do następnego ranka, kiedy to ratownicy wydobyli zwłoki i przewieźli je do kaplicy w Canacei.

Tak przedstawiają się fakty opisane na podstawie rozmów z żoną, wiadomości z włoskiej lokalnej prasy i z radia Dolomity.

W dwa dni później, nie wiedząc jeszcze nic o śmierci Tomka, w tym samym rejonie działała duża grupa Włodka Janusika, której to przy fatalnej pogodzie nie udało się przejść lodowca. W drodze powrotnej doszło do kilku poślizgnięć i była potrzebna pomoc helikoptera. O tej wyprawie w Dolomity napiszę w kolejnym numerze „Co słychać?” ■

Tekst: ***Antoni Leon Dawidowicz***

Kolega po fachu i kolega z PTT

W dniu wczorajszym rozpakowywałem swoje paczki z książkami w związku z przeprowadzką Instytutu. Nie wiem, czy to przypadek, czy działanie opatrzności, ale pierwszą książką, na jaką się natknąłem były „Proceedings’y” konferencji w Kazimierzu Dolnym. Na okładce przeczytałem „Editor Tomasz Mazur”. Zamyśliłem się...

Gdy pakowałem te paczki Tomek jeszcze żył. Przypomniałem sobie Tomka zarówno na spotkaniach w Towarzystwie, jak i na Uniwersytecie. Zawsze usilnie mnie zapraszał na konferencje w Kazimierzu Dolnym. Nigdy koniec końców na tej konferencji nie byłem. Już mnie nie zaprosi. Było dla mnie szczególnie sympatyczne z tym samym człowiekiem bywać zarówno w górach z PTT, jak i na salach wykładowych, z matematykiem. Swój zawód ze swoim hobby Tomek potrafił połączyć.

Miałem okazję uczestniczyć w kolokwium habilitacyjnym Tomka. Jego wykład habilitacyjny poświęcony był Tatrom Po kolokwium jeden z profesorów, będących autorytetem w środowisku matematycznym zabrał głos i bardzo wysoko ten wykład ocenił. Nie spotkam się już z Tomkiem w górach. Nie zaprosi mnie na konferencję do Kazimierza Dolnego. Teraz czeka na nas w innym, lepszym świecie wraz z Bernardem Reimannem i Władysławem hr. Zamoyskim.

Cześć jego pamięci! ■

nekrolog

11 sierpnia 2008 roku zginął w Dolomitach w zejściu z Marmolady doznając wskutek upadku śmiertelnych obrażeń

prof. dr hab. TOMASZ MAZUR

matematyk, długoletni wykładowca Politechniki Radomskiej, a ostatnio Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Prezes Oddziału Akademickiego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Radomiu, w latach 1998-2004 członek Zarządu Głównego PTT, zaangażowany w szkolenie narciarskie i wspinaczkowe młodzieży, organizator wielu oddziałowych wypraw tatrzańskich i alpejskich.

Pogrzeb odbył się w piątek 22 sierpnia; po Mszy św. odprawionej w kościele p.w. Matki Bożej Miłosierdzia przy ul. Miłej, został pochowany na cmentarzu komunalnym przy ul. Limanowskiego w Radomiu.

Zarząd Główny
Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego

Tekst i zdjęcie: ***Barbara Morawska-Nowak***

Odszedł Tadeusz Orłowski

30 lipca 2008 roku zmarł w Warszawie prof. dr. hab. Tadeusz Orłowski. Był nie tylko znanym profesorem medycyny, ale także znanym taternikiem. Wraz z Jego śmiercią odchodzi cała epoka polskiego taternictwa. Tego sięgającymi jeszcze do lat przedwojennych. Tadeusz Orłowski był dla mnie legendą tamtych czasów, miałam go zaszczyt poznać osobiście sześć lat temu. Zgodził się wówczas napisać o swym taternictwie do Pamiętnika PTT, artykuł ukazał się w tomie 12 (2003), ss. 115-132.

Tadeusz Orłowski urodził się 17 września 1917 roku w Kazaniu jako syn znanego profesora medycyny Witolda Orłowskiego. Po odzyskaniu niepodległości rodzina wróciła do Polski. Zamieszkali w Krakowie, a potem w Warszawie, gdzie Orłowski ukończył gimnazjum i rozpoczął zgodnie z tradycją rodzinną studia medyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Dyplom lekarza otrzymał w roku 1943 na tajnym Uniwersytecie. Na Wydziale Lekarskim tegoż Uniwersytetu, a następnie na Akademii Medycznej przeszedł wszystkie szczeble kariery naukowej zostając w 1962 roku profesorem. Od 1964 roku był kierownikiem I Kliniki Chorób Wewnętrznych, a od 1975 roku – Instytutu Transplantologii. Był twórcą sztucznej nerki i wraz z prof. Janem Nielubowiczem – ojcem polskiej transplantologii. Był członkiem PAN, od 1971 roku I zastępcą sekretarza naukowego tej instytucji. Opublikował ponad 300 prac naukowych, przez szereg lat był redaktorem czasopisma „Polskie Archiwum Medycyny Wewnętrznej".

Pasją Tadeusza Orłowskiego było taternictwo, które uprawiał aktywnie przez 18 lat począwszy od 1936 roku. Już wkrótce dał się poznać jako autor pierwszych przejść, z których najbardziej znaną jest skrajnie trudna droga Orłowskiego na pn.-zach. ścianie Galerii Gankowej. Ponadto Orłowski był autorem m. in. takich dróg, jak Żlebem Drege'a na Granaty, środkiem pn. ściany Żabiego Szczytu Wyżnego, pn.-wsch. ścianą Mięguszowieckiego Szczytu Pośredniego, zach. ścianą Łomnicy.

W latach wojny Orłowski nadal uprawiał taternictwo, także bezpośrednio po wojnie, aż po rok 1957. Był zarazem we władzach konspiracyjnego Klubu Wysokogórskiego PTT i redaktorem naczelnym wydawanego tajnie „Taternika". Działał w kontrwywiadzie Delegatury Rządu. Brał udział w powstaniu warszawskim jako żołnierz batalionu „Baszta". Działa jednak głównie jako lekarz ps. „Justyn" w punktach sanitarnych ratując życie rannym. Po upadku powstania, wraz z Wawrzyńcem Żuławskim dostaje polecenie zorganizowania drogi przerzutowej przez Tatry i Słowację na Węgry. Zarazem Stanisław Siedlecki zaproponował im opiekę nad opuszczonym schroniskiem w Morskim Oku i tam doczekali się wyzwolenia. Po wojnie często wspinał się w Tatrach Słowackich zanim uniemożliwiły to obostrzenia graniczne, w tych czasach zaprzyjaźnił się ze znanym taternikiem słowackim Arno Puškaśem, z nim też odbył ostatnie pierwsze przejścia w Tatrach na Solisku i Kopie Popradzkiej.

W 1947 roku był uczestnikiem pierwszej powojennej wyprawy w Alpy i wraz z Wawrzyńcem Żuławskim dokonał IV przejścia Filara Bocalattego na Mt. Blanc du Tacul i wschodniej ściany Aiguille du Grépon.

Gdy w 1957 roku zginął tragicznie pod Mont Blanc w akcji ratunkowej po Grońskiego i Jugosławian jego partner i najlepszy przyjaciel, Wawrzyniec Żuławski, ówczesny Prezes reaktywowanego Klubu Wysokogórskiego, Orłowski na krótko przejął ster klubowy w swoje ręce. W 1960 roku został członkiem honorowym Klubu Wysokogórskiego.

Z czasem coraz bardziej oddawał się medycynie Tatry odwiedzając od czasu do czasu turystycznie. W ostatnich latach uległ kilku wypadkom ulicznym w następstwie których w ostatnich latach życia miał kłopoty z poruszaniem się. Do końca jednak intensywnie pracował naukowo; codziennie instytutowy kierowca zabierał go do Instytutu i odwoził z powrotem do domu.

Tadeusz Orłowski dużą wagę przywiązywał do przestrzegania zasad bezpieczeństwa w górach, od 1945 roku był członkiem Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. W swoim artykule w Pamiętniku udziela nam porad:

Żelazną zasadą jest nieustanne pamiętanie, że w praktyce czym teren łatwiejszy, tym jest – paradoksalnie – bardziej niebezpieczny. W nim – zwłaszcza bezpośrednio po wyjściu z trudności – bardziej należy uważać przy zmianie każdego chwytu i nie odbiegać od zasady utrzymywania 3 mocnych punktów podparcia. Jeśli bowiem jeden z nich niespodziewanie się wykruszy, dwa pozostałe uratują życie na ogół nie asekurującemu się w takim terenie wspinaczowi. Nieprzestrzeganie tej zasady było przyczyną śmierci niejednego wybitnego taternika.

Przypomnę jeszcze zakończone nutą nostalgii wspomnienia prof. Orłowskiego w Pamiętniku:

W czasie mojej działalności górskiej przebyłem ponad 1000 dróg wysokogórskich. Ale dzisiaj brak mi przede wszystkim nie wspinaczki lecz możliwości bezpośredniego przebywania we wnętrzu gór, biwakowania w ich kolebach oraz możliwości swobodnego poruszania się po ich pięknych graniach i ścianach. To wszystko jest już niestety całkowicie na zawsze stracone i to nie tylko dla mnie. Tatry mojej młodości już nie istnieją. ■

apel

Pamiętajmy o Macieju Mischke

Setna rocznica urodzin Macieja Mischke

11 marca 2009 roku przypadnie setna rocznica urodzin Macieja Mischke, honorowego Prezesa PTT, którego wkład w ponowne zaistnienie Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego jest nie do przecenienia. Był uczestnikiem Krajowego Sejmiku Obywatelskiego Komitetu Reaktywowania PTT i członkiem Tymczasowego Zarządu PTT 1981. Był pierwszym prezesem Oddziału Krakowskiego PTT. Stanął na czele tych, którzy nie zrezygnowali i nadal czynili starania o zarejestrowanie Towarzystwa, stał się ich niekwestionowanym liderem.

I Zjazd Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, 7 października 1989 roku obdarzył go jednomyślnie funkcją Prezesa, którą sprawował przez dwie kadencje. IV Zjazd PTT (1998) obdarzył go godnością Prezesa Honorowego.

Ci co znali Macieja Mischke zapamiętali go jako człowieka wysokiej kultury, przyjaznego wszystkim, darzącego nas ojcowską miłością, uroczego gawędziarza. Wiele też spisał ze swego barwnego życia; oprócz jego wędrówek alpejskich najciekawsze są jego przeżycia wojenne – udział w kampanii francuskiej, a następnie czasy internowania w Szwajcarii.

Zamierzamy wydać całokształt jego twórczości pisarskiej, przygotowanej już do druku przez syna Wojciecha Mischke i Barbarę Morawską-Nowak. Jak zazwyczaj na przeszkodzie stoi brak środków finansowych. Dlatego zwracamy się do członków Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, szczególnie do tych, którzy go znali oraz do wszystkich jego przyjaciół z prośbą o wpłatę na ten cel na konto Zarządu Głównego PTT w BGK O/Kraków nr 47 1130 1150 0700 0000 0005 4585 z dopiskiem „ darowizna – MISCHKE".

Promocję książki pragniemy połączyć z uroczystym spotkaniem z okazji setnych urodzin Prezesa i wystawą pamiątek po Nim.

Grono przyjaciół **z PTT**

Barbara Morawska-Nowak
Baca-Jurek Michlik

W pełni popieram inicjatywę
Romuald F. Zaręba

Antoni L. Dawidowicz
Barbara Rekowa

Korespondencje prosimy kierować na adres:
Barbara Morawska-Nowak
Konarskiego 21/5
30-049 Kraków
tel. 12-634-05-89
e-mail: morawska@ptt.org.pl

Tekst i zdjęcia: ***Iwona Nakoneczna***

Bliżej słońca, czyli Oszchomaho (5642 m n.p.m.)

Jedna góra zaliczona, kolejna niezaliczona z powodu pogody, następna zaliczona... a jak będzie z tą? – takie pytanie kłębiło się od kilkunastu tygodni w głowie.

1 sierpnia br. wsiadamy do pociągu relacji Dębica - Przemyśl, następnie busem do Medyki, pieszo przez granicę, „marszutką" w niecałe 2 godziny i już jesteśmy we Lwowie. Zostawiamy plecaki u babuszki, idziemy odebrać bilety od naszego pośrednika i siadamy pod parasolkami na lwowskim rynku przy pierwszym wschodnim piwie. Rano spotykamy się z resztą załogi przed dworcem. O 9:46 wsiadamy do pociągu relacji Lwów – Mineralne Wody. Czeka nas ponad 40 godzin podróży. Pociąg rusza, wokół straszliwy upał, a okien jak w większości ukraińskich pociągów nie da się otworzyć... Nie mija jednak chwila, jak włączają nam klimatyzację, a pani przynosi pościel – na pytanie „skolko?" dziwnie reaguje. To wagon „kupe", a do takich nie jesteśmy przyzwyczajeni – innych nie ma w pociągach tej relacji. Godziny mijają...

4 sierpnia w środku nocy wysiadamy w Mineralnych Wodach. Z 10000 rubli schodzimy na 4000 i wraz z trójką chłopców z Częstochowy wsiadamy do busa do Azou. Wszystko w mgle, pada, nie zapowiada to nic dobrego, nastroje kiepskie... Po drodze, w Tyrnauz, próbujemy załatwić OVIR czyli „registrację", ale urząd czynny jest od godziny 14.00, jedziemy więc dalej z nadzieją, że dalej coś uda się zrobić. Wysiadamy w Terskole, czekamy kilka minut by wymienić dolary. „Registracja" czynna jest od 10, więc czekamy... Część z nas jedzie już pod kolejkę, a my zostajemy z paszportami. Niestety, okazuje się, że punkt z registracją tego dnia w ogóle nie będzie otwarty, ale formalności można załatwić również na poczcie. Nie mamy nigdzie zameldowania, ale pani z poczty lituje się i za jedyne 70 rubli pozwala nam wpisać do dokumentów adres jej babuszki z 1938 roku. Około południa stoimy już w kolejce do wyciągu, w planach mamy wyjazd do Miru (3500 m n.p.m.) i tam nocleg. Wsiadamy do jednego wagoniku, później drugiego i w naszych oczach ukazuje się jeden wielki plac budowy, pełno żelastwa, śmieci, brudu. Nie bardzo wiem gdzie się podziać, by nas coś nie rozjechało... Szukamy wody, a kiedy już ją mamy łapiemy na stopa jakiegoś gruzawika, który podwozi nas ok. 150 m w pionie w stronę tzw. „beczek". Kolejne 100 m już z garbami na plecach dreptamy sami. Kolejne rozczarowanie... jeden wielki śmietnik i rupieciarnia. Rozbijamy namioty. Wszystko w chmurach, zero widoczności, GPS w rękę i za śladami ratraka ruszamy na aklimatyzację do Priuta (4100 m n.p.m.). Dojście zajmuje nam godzinę, zejście 30 minut. W nocy budzi nas straszna burza, która ustaje dopiero koło godziny 17, pojawia się słońce i wyłania się nasz cel... dwa piękne, białe, schowane za lekkimi chmurami wierzchołki Elbrusa.

6 sierpnia, wcześnie rano pobudka, o siódmej z minutami plecaki spakowane, ruszamy do góry. Dochodzimy nad Priuta, rozbijamy obóz, mocno stabilizujemy namioty, uzupełniamy płyny i wyruszamy na aklimatyzację. W planach mamy 5000 m, czyli 900 m przewyższenia od obozu, ale zobaczymy co da się zrobić. Widoczność rewelacyjna, dochodzimy do wysokości 4996 m n.p.m., jeszcze tylko 4 metry do zakładanego celu. Tuptamy do góry – jest, udało się, kilka fotek, a GPS pokazuje o 8 m więcej. Oj, te osiem metrów dało nam popalić. Schodzimy. Następnego dnia odpoczywamy. O 16:00 kładziemy się spać, ale nie możemy zasnąć. Wiatr wieje, dzwonią budziki, czas wstawać. Jest północ, w Polsce 22:00. Jemy zupki, makarony, dużo pijemy. Biorę APAP, by nie czuć ciężko obdartej wcześniej nogi, ubieramy raki, pakujemy plecaki i o 2:00 startujemy. Gdzieś na szlaku widać już czołówki, ktoś się kręci w namiotach. Mamy dobre tempo, uciekamy przed „pociągiem" Rosjan. Przy skałach Pastuchova (4600 m n.p.m.), zatrzymają się ratraki z „turystami". Od czasu do czasu spoglądamy w tył – coraz więcej świateł, wygląda to jak scena z „The Lord of the Ring". Wiatr momentami tak wieje, że mocno zapieramy się rakami i kijami by nie zdmuchnął. Na trawersie obserwujemy fantastyczny wschód słońca. Jakiś Czech przede mną cały czas wymiotuje, ludzie się wycofują. Dochodzimy do siodła (5325 m n.p.m.) z nadzieją na promienie słońca, które choć trochę nas rozgrzeją, ale wciąż ich tam nie ma. Kilka łyków płynu i pniemy się dalej, byle w stronę słońca. Rozgrzewamy dłonie, zimno dobrze neutralizuje ból nogi. Dochodzimy do ostatniego odcinka drogi, już nie liczymy kroków, po prostu nie da się tam biegać. Mimo, że nogi chciałyby iść, organizm nie chce się ruszać. Ostatnie może 100 m, a nic nie da się zrobić by przyspieszyć kroku... Tempo staje się coraz wolniejsze, prawie, że minimalne...

O 9:20 w dzień wybuchu nowej wojny, w dzień rozpoczęcia letniej olimpiady, w urodziny roku czyli 08-08-2008 stanęliśmy na wierzchołku Europy lub jak kto woli jednym z wielu wierzchołków świata. Dla nas wtedy nie było to ważne... Ważne, że już na szczycie... OSZCHOMAHO - ELBRUS (5642 m n.p.m.). Widoczność niesamowita, wiatr wydaje

się jakoś cieplejszy, mniejszy, nie zwracamy na niego uwagi. Stoimy ponad wszystkim, panorama zapiera dech w piersiach. Na szczycie zdjęcie z flagą zrobione przez Czecha, naklejenie nalepek klubowych, gratulacje, uśmiechy do obiektywów i zejście. Poniżej jakiś batonik, picie i schodzimy. Mijamy mnóstwo obcokrajowców, nie mających już siły podnosić ręki na znak przywitania. Słońce mocno świeci, powoli roztapia śnieg. Po niecałych trzech godzinach jesteśmy w namiocie. Szczęśliwie standardowa choroba wysokościowa nas ominęła. Tylko lekki ból głowy, coś pijemy i zamykamy się w śpiworach.

Kolejnego dnia pakujemy sprzęt, zwijamy obóz i schodzimy. Z poznanymi na szczycie Czechami świętujemy nasz sukces w barze przy stacji Mir. Później zjeżdżamy kolejkami do dołu, dobry obiad, kabardyjsko-bałkarskie piwko. Jedziemy do Saklji, pola namiotowego w miejscowości Elbrus.

Dochodzą sms-y, wojna się rozpoczęła, jakieś 200 km stąd, a tu Rosjanie bardzo spokojni, w rozmowach twierdzą: „(...) tu wojna jest zawsze, patrzcie na nas, my się nie przejmujemy (...)", tańczą w barach, piją piwo, jakby nic się nie działo...

10 sierpnia wybieramy się do doliny Irik – piękne przełomy, pola biegających susłów, krajobraz pocztówkowy, zakończony niesamowitym wodospadem i widokiem na najwyższy szczyt Kaukazu. Po dwóch dniach załatwiamy „propusk", czyli pozwolenie na wejście w teren przygraniczny. Udaje się nam trochę podjechać z właścicielem „cafe" i ruszamy do doliny Adył-Su. Deszcz pada przez większą część drogi, ale dzielnie przechodzimy z jednej strony lodowcowej rzeki na drugą i wchodzimy we wszechotaczające nas, schodzące lodowce. Prawdziwa lekcja geografii. Docieramy do zaznaczonego na mapie „Green Hotelu", gdzie goszczą nas herbatą i chcą częstować innymi zielonymi używkami, jednym słowem „kwiat rosyjskiej nauki". Kolejnego dnia wybieramy się na Czeget, z niego ostatni widok na wierzchołki Elbrusa i czas wracać.

16 sierpnia cali i zdrowi docieramy do kraju. Na pięć osób: dwie z Mielca, jedna z Krakowa, jedna z Krynicy i jedna z Dębicy, na szczyt weszła nas czwórka. Akcja górska zajęła nam sześć dni, z czego dzień bez pogody i dzień odpoczynku, było zimno było wietrznie, ekscytująco. Tam powietrze ma inny smak – polecam.

Wizualizację całej wyprawy, do której obejrzenia serdecznie zapraszam znajdziecie na stronie internetowej: **http://powiat.mielec.pl/in/Blanc/Ukr/Gor/BN/M/I/IP/S/TZ/R/Z/TW/BG/E/**.

Najwyższy szczyt Rosji, będący najwyższym szczytem Kaukazu, konkuruje z Mt. Blanc w hierarchii najwyższej góry Europy, ale niech się o to spierają inni. Dla nas był to po prostu Oszchomaho, popularniej zwany Elbrusem. Tubylcy nazywają go na różne sposoby np. jako Dziewczęce Piersi, Góra Przynosząca Szczęście, Święta Góra czy też Góra Śnieżna. Dwuwierzchołkowa góra położona jest w całości w Rosji, na terenie Kabardo-Bałkarii, 11 km na północ od głównej grani Wielkiego Kaukazu, która stanowi granice rosyjsko-gruzińską. To zbudowany głównie z andezytu, wznoszący się na wysokość 5642 m n.p.m., stożek wygasłego (nie wszyscy naukowcy tak twierdzą) wulkanu, którego jedynym przejawem aktywności są gorące siarkowe ekshalacje (gazowe wyziewy), prawie w całości pokryty jest lodowcami o powierzchni około138 km² i wiecznym śniegiem. Z tego względu jest o około półtora kilometra wyższy od najwyższych otaczających go szczytów, co powoduje, że narażony jest na bardzo dużą zmienność pogody, silne wiatry i niską temperaturę. Łatwy technicznie, orientacyjnie trudny. Ci, co trafili na dobrą pogodę, uważają wejście za proste, inni, dla których jej zabrakło często już nie mają możliwości wyrazić swojej opinii...

Jak dla każdej mniejszej czy większej góry należy mieć wobec niej pokorę. Wiele osób ją zdobywa, ale nie każdy... ■

Tekst: ***Piotr Kutkowski*** *(przedruk z Echa Dnia - 22 sierpnia 2008 r.)*

Tomasz Mazur zginął w cieniu wielkiej góry

Tomasz Mazur, znany matematyk z Radomia, którego wielką pasją były górskie wspinaczki zginął w szczelinie lodowca we włoskich Dolomitach.

Tomasz Mazur miał w swoim życiu dwie pasje – matematykę i góry. Ta druga kazała mu zapłacić najwyższą cenę. Zginął w szczelinie lodowca we włoskich Dolomitach.

Miał 55 lat. Urodzony w Radomiu i cale życie związany z naszym miastem. Profesor matematyki, nauczyciel akademicki, wykładowca na Politechnice Radomskiej i w Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Prezes Radomskiego Oddziału Stowarzyszenia Nauczycieli Matematyki.

– Mimo zajmowania się matematyką wyższą nigdy nie stwarzał dystansu, między nauczycielami akademickimi a nauczycielami innych szkół i robił wiele, by tego dystansu nie było – twierdzi Piotr Darmas, działacz stowarzyszenia i nauczyciel matematyki – Chciał, by nauczanie matematyki na wszystkich szczeblach edukacji stanowiło spójną całość. Interesowały go zmiany w oświacie i relacje nauczyciel-uczeń. Miał czas dla jednych i drugich, popularyzując matematykę. Mówił z pasją, przystępnie i ciekawie, wtrącając anegdoty poznane lub przeżyte z dalszej i bliższej historii matematyki. Zachęcał do doskonalenia się.

PASJA: WĘDROWANIE

Ale oprócz matematyki w życiu Tomasza Mazura były jeszcze góry, od najwyższej na Mazowszu Altany pod Szydłowcem po Mont Blanc. Pasja, którą potrafił zarażać innych.

– To z dzieciakami ze szkoły podstawowej wraz z opiekującymi się nimi nauczycielami zwiedzaliśmy trasy i okolice Baraniej Góry – wspomina Witek Kmita, działacz Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. – Trzeba było widzieć dumę i radość tych dziewcząt i chłopców z pokonania trasy pomimo obtartych od butów stóp. To dzięki niemu odbywały się zimowiska szkoleniowe jazdy na nartach w Bukowinie Tatrzańskiej lub w Krompachach na Słowacji. Oczywiście były też ambitniejsze trasy realizowane w ramach długich weekendów: Bieszczady, Sudety Gorce, Pieniny Słowacki Raj, Mała Fatra, Tatry Polskie i Słowackie. Były też spływy kajakowe Nidą, Pilicą czy Bugiem.

WYPRAWY ALPEJSKIE

Swoją wiedzę i górskie doświadczenie Tomasz Mazur wykorzystywał jako prezes działającego przy Politechnice Radomskiej Akademickiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Prowadzone przez niego grupy wchodziły na szczyty w Pirenejach, Alpach austriackich, francuskich i szwajcarskich, we włoskich Dolomitach.

– Trasy w Dolomitach są na ogół znakomicie zabezpieczone – przekonuje Witek Kmita – I nie były to wyprawy alpinistyczne, z wbijaniem haków i tak dalej, lecz na szlaki turystyczno-alpinistyczne, wymagające przede wszystkim wytrzymałości.

Krzysztof Szymiec uczestniczył w wyprawie w 2003 roku.

– Wcześniej miałem za sobą tylko wejścia na szczyty w Tatrach, tym razem cele były znacznie ambitniejsze, ale Tomasz Mazur potrafił do tego znakomicie zachęcić – wspomina – To, co robił było zawsze robione z głową i staranie zaplanowane. Zaczynaliśmy w 10 osobowej grupie od łatwiejszych wejść, które okazywały się jednak swego rodzaju testem kwalifikacyjnym przed najtrudniejszymi celami. Potem mniejsza już grupa weszła na Marmoladę, a na szczycie Mont Blanc stanęły cztery osoby, w tym również Tomasz Mazur.

Czy był człowiekiem dbającym o bezpieczeństwo w górach?

Krzysztof Szymiec nie ma wątpliwości, że tak, ale jak dodaje, w górach nikt i nigdy nie może zagwarantować pełnego bezpieczeństwa. Ryzyko zawsze istnieje.

TRAGICZNA SZCZELINA

Tomasz Mazur czterokrotnie organizował wyjazdy w Dolomity. W tym roku sierpniowa wyprawę poprzedził spływ kajakowy Czarną Hańczą do Augustowa. Potem były już tylko góry.

11 sierpnia wyruszył w kilkuosobowej grupie na kolejną wędrówkę. W trakcie wyprawy wraz z żoną oddzielili się, by wejść na Marmoladę. Do tragedii doszło w momencie, gdy schodzili już z góry po oblodzonej, północnej ścianie na wysokości 2900 metrów. Okoliczności nie są dokładnie znane. Wiadomo, że Tomasz Mazur spadł w szczelinę lodowca. O dramatycznej akcji ratunkowej pisała później włoska prasa. Według dziennikarzy żona wspinacza widząc co się stało, próbowała najpierw wezwać telefonicznie pomoc, mówiła jednak po polsku i ratownicy nie byli w stanie jej zrozumieć.

„Dopiero kiedy dotarła po dwóch godzinach samotnego marszu do schroniska w Pan Trevisan, które zostało poinformowane o jakimś wypadku, mogła opowiedzieć i wytłumaczyć zaistniałą sytuację. Chciała nawet wezwać tłumacza, dziewczynę, która wykonuje ten zawód i była na campingu w Canazei" – relacjonowali dziennikarze.

Potem żona wsiadła do śmigłowca, ale zdaniem dziennikarzy podczas lotu dalej nie mogła z powodu emocji i bariery językowej przekazywać precyzyjnych informacji. Dopiero podczas powtórnego lotu, już z udziałem tłumaczki, śmigłowiec z lekarzem na pokładzie dotarł w pobliże miejsca tragedii. Zmierzały tam też piechotą dwie inne ekipy ratunkowe.

„Ratownicy, którzy zeszli na sam dół szczeliny, by reanimować mężczyznę, potwierdzili jedynie jego śmierć. Zwłoki zostały powoli wydobyte na lodową powierzchnię" – stwierdzili ze smutkiem obserwatorzy.

POŻEGNANIE

– Dolomity już wcześniej były dla niego pechowe. Kilkanaście lat temu jadąc tam miał bardzo poważny wypadek drogowy za Wiedniem. Miał złamany kręgosłup i długo musiał dochodzić do sił – zauważa jeden ze znajomych Tomasza Mazura.

I dla niego, i dla wszystkich znajomych profesora Mazura informacja o jego śmierci była szokiem. Mówią wprost, że odszedł człowiek bardzo im bliski. Ktoś, kogo zawsze szanowali i podziwiali. I którego brak dopiero teraz zaczyna dostrzegać.

Piotr Darmas: – Był prawym, uczciwym, życzliwym człowiekiem, zawsze gotowym udzielić dobrej rady i rzetelnej informacji. Ogromnym optymistą. Kochał życie. Kochał matematykę.

Witek Kmita: – Chciałem Ci, Tomku podziękować za możliwość udziału w niektórych twoich wyprawach. Choćby pamięć zapachu kwiatów i łąk na majowej wyprawie w drodze z Łysicy do Masłowa na zawsze pozostanie w mojej pamięci.

■

Tekst i zdjęcie: ***Wojciech Szarota***

Śladami wulkanów i antyku

27 lipca 2007 r. Oddział Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego „Beskid" w Nowym Sączu, powrócił z kolejnej wyprawy, tym razem zatytułowanej „Śladami wulkanów i antyku" po południowych Włoszech i Sycylii. Ideą programu tej wyprawy, opracowanego przez Roberta Cempę i Wojtka Szarotę, było połączenie zdobywania wulkanów i innych górskich szczytów z poznaniem kultury i historii tych ziem.

Najważniejszym punktem było wspięcie się na kalderę czynnego i najwyższego wulkanu europejskiego Etny (3323 m n.p.m.). Nie mniejszą atrakcją było zajrzenie we wnętrza również czynnego i to od 2 tys. lat wulkanu Stromboli na wyspach Liparyjskich, czy też znanego ze swojej niesławy wulkanu Wezuwiusz koło Pompei i Neapolu.

Kolejną atrakcją dla ludzi gór było poznanie najpiękniejszej i najwyższej środkowej części Apeninów z pasmami Gór Gran Sasso d` Italia (Monte Corno - 2914 m n.p.m. i Corno Picolo - 2878 m n.p.m.), czyli Wielkiego Włoskiego Kamienia lub Śpiącego Giganta oraz dzikie i niedostępne pasmo De la Maiela i Gór Sybilińskich z najwyższym Monte Vettore (2574 m n.p.m.), a także wspaniałym płaskowyżem Grande Piano. Końcowym, górskim akcentem wyprawy było zdobycie jednego z piękniejszych i najwyższych szczytów Dolomitów - Civetty (3220 m n.p.m.) w Alpach północnych Włoszech.

Barwnym i jakże wspaniałym uzupełnieniem wyprawy było zwiedzanie licznych zabytków i poznawanie kultury i smaków południowych Włoch. Podczas pobytu na Sycylii, spacerowano uliczkami południowych miasteczek, gdzie można było poczuć niepowtarzalny, południowy klimat upalnej sjesty, podziwiano starożytne miasta – Syrakuzy i Taorminę wraz z jej wąwozami. Doskonale można było poznać wpisane na listę Unesco, Noto - perełkę baroku sycylijskiego, gdzie mieliśmy bazę noclegową.

Po opuszczeniu Sycylii, nie zabrakło czasu na zwiedzanie Rzymu i Monte Cassino. Program był bardzo bogaty i intensywny, dzięki czemu można było wiele zobaczyć i przeżyć. Dodatkowymi atrakcjami było odwiedzenie wspaniałych sanktuariów i miejsc kultu religijnego poczynając od grobu Jana Pawła II, św. Piotra i św. Pawła w Rzymie do grobu Św Ojca Pio, sanktuarium wizerunku Chrystusa nie ręką ludzką stworzonego z Manopello, czy sanktuarium cudu eucharystycznego w Lanciano, oraz sanktuarium Św Michała w Mont San Michel na półwyspie Gargano.

Uczestnicy wyprawy przywieźli moc wrażeń, wspomnień i przeżyć. Również i zdjęć, którym sprzyjała wspaniała śródziemnomorska aura. Będzie je można zobaczyć na corocznej powyprawowej wystawie w restauracji Ratuszowa, której wernisaż odbędzie się pod koniec września.

■

Tekst: ***Krzysztof Florys***

Lubań zagrożony

Nie brakuje kolejnych dziwnych pomysłów na zagospodarowanie gór wyciągami i trasami narciarskimi. Tym razem miejscem zagrożonym jest Lubań (1211 m n.p.m.) – góra niezwykła, jeden z nielicznych szczytów, skąd rozpościera się widok na Podtatrze, Babią Górę, Tatry, Pieniny i Zalew Czorsztyński.

Okoliczne samorządy chcą rozwijać narciarstwo na południowych stokach Lubania. Gmina Krościenko nad Dunajcem przystąpiła już do zmiany studium i planu zagospodarowania Lubania. Aby zrealizować zamiary, pod kolejki i trasy narciarskie przewidziano m.in. wycinkę dziesiątek hektarów lasu

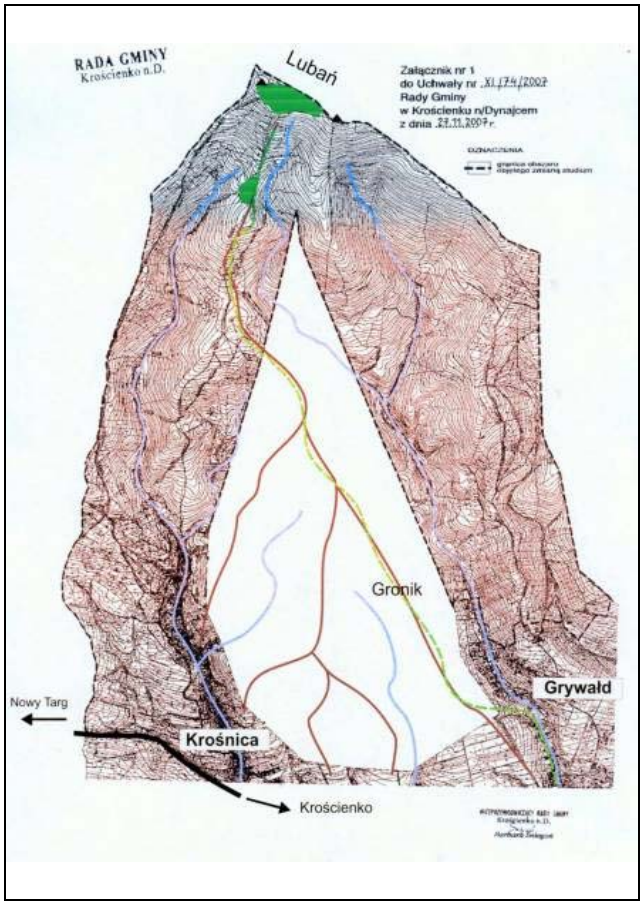

19 czerwca 2008 r. w Centralnym Ośrodku Turystyki Górskiej PTTK odbyła się Konferencja „Lubań – przyrodniczo-kulturowe dziedzictwo świata – turystyczna przyszłość regionu?".

Celem Konferencji była wstępna ocena zainteresowanych instytucji i stron złożonej problematyki najnowszych planów zagospodarowania południowych stoków Lubania w pobliżu otuliny Pienińskiego Parku Narodowego dokonana w szerokim aspekcie ochrony zasobów przyrodniczych, interesów turystyki górskiej, jak i prezentacji alternatywnych form zagospodarowania turystycznego sprzyjających ochronie i zachowaniu środowiska przyrodniczego Pasma.

Prezentacja stanowisk zainteresowanych stron oraz dyskusja nad wiodącym problemem miała na celu nie tylko rozpoznanie skali zagrożeń unikalnych zespołów przyrodniczych Lubania, ale także wskazanie innych alternatywnych rozwiązań nie prowadzących do określonych konfliktów rozwoju ekonomicznego z ochroną przyrody.

Prezentowane przykłady, stosowane z powodzeniem w wielu regionach nie tylko Polski, ale i Europy ukazały, iż rozwój ekonomiczny możliwy jest także w formie nieuciążliwej dla środowiska naturalnego niewymagającej kosztownej infrastruktury. Należy podkreślić, iż rozwiązania przyjazne środowisku naturalnemu są nieocenioną szansą zwłaszcza dla terenów słabo lub niezurbanizowanych, pozwalające na zrównoważony rozwój regionalny bez kosztownych nakładów inwestycyjnych.

Konkluzją spotkania było wypracowanie i sformułowanie końcowego stanowiska oraz przekazanie go w formie pisemnej do władz terenowych, Ministerstwa Środowiska oraz wszystkich zainteresowanych stron. Stwierdzono, iż ważną kwestią będzie objęcie ochroną partii szczytowej Lubania jako obszar specjalnej ochrony siedlisk NATURA 2000.

Na spotkanie zaproszono m.in. lokalne, branżowe oraz ogólnopolskie media celem nagłośnienia problemu i poddania go publicznej dyskusji, tak by wszelkie inicjatywy planistyczne dotyczące wspaniałego dziedzictwa Lubania mogły być ocenione przez cale zainteresowane społeczeństwo. Niestety, na konferencji nie pojawili się przedstawiciele gminy Krościenko, którzy nie skorzystali z okazji wysłuchania merytorycznych, naukowych argumentów ukazujących błędny kierunek myślenia o rozwoju gminy.

Dlaczego przyszłość Lubania wymaga dyskusji?

1. Ochrona bardzo ważnego korytarza ekologicznego łączącego Pieniny z Gorcami i Beskidem Sądeckim,
2. Pasmo Lubania łączy trzy obszary Natura 2000 – Pieniny, Gorce oraz Ostoję Popradzką,
3. Ochrona walorów widokowych,
4. Ochrona lasów – wielogatunkowych i wielogeneracyjnych kompleksów leśnych - bukowych, jodłowych, bukowo-jodłowych i jodłowo-świerkowych,
5. Ostoja zagrożonych gatunków zwierząt będących na czerwonych listach i czerwonych księgach zagrożonych gatunków w skali całych Karpat mających priorytetowe znaczenie w dyrektywie siedliskowej Unii Europejskiej:
   - ptaki - m.in. orzeł przedni, głuszec, jarząbek, puszczyk uralski, 5 gatunków dzięciołów, sokół wędrowny, przepiórka,
   - drapieżniki - m.in. ryś, niedźwiedź, wilk, żbik, wydra kopytne - m.in. jeleń, sarna.

■

Tekst i zdjęcie: ***Juliusz Wysłouch***

OTN Mosorny Groń, czyli niewypał

Kilka lat temu, kiedy zawojscy samorządowcy zdecydowali o budowie ośrodka narciarskiego na Mosornym Groniu pisałem, że będzie to jeszcze jedna nietrafiona inwestycja przynosząca straty głównie w przyrodzie, ale i od strony materialnej. Jak wiemy zbudowano kanapową kolej linową, stok narciarski i coś na kształt infrastruktury mającej obsługiwać narciarzy, a nawet turystów. Dziełu temu nadano nazwę Ośrodek Turystyczno-Narciarski. Powstała strona internetowa sławiąca jego walory.

Już na początku działalności były kłopoty techniczne i kolejka stanęła z pasażerami na kanapach. Dolna, stroma część stoku nie była stabilna i groziła osuwiskiem. Trochę się kręciło to wszystko przez jakiś czas, ale kiedy zaglądałem na stronę internetową OTN to niemal zawsze widziałem komunikat „kolej linowa nieczynna". Tak było w minionym sezonie narciarskim. Będąc na początku sierpnia w Zawoi wymyśliłem trasę wycieczki zahaczającą o ów obiekt mający rozsławiać imię Zawoi w świecie, a nawet poza jego granicami. Trasa wiodła z Zawoi Podryzowane szlakiem żółtym w kierunku Mosornego Gronia. Po miłej wędrówce stanąłem na wierzchołku. I co zobaczyłem? Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy to śmieci wylewające się ze śmietnika i zalegające na całej kopule szczytowej. Drugi zarejestrowany obrazek to niewykończony budynek (chyba hotel górski), na szczęście nie zdemolowany. To zapewne dlatego, że aby stanąć na Mosornym trzeba tam iść spory kawał drogi, a chuliganom nie chce się chodzić. Dlaczego? Bo kolejka linowa (całoroczna!!!) nie działa. A miała wozić „turystów" mających podziwiać widok Babiej Góry z wierzchołka, miała przynosić sławę i dobrobyt licznym mieszkańcom Zawoi, miała być kołem zamachowym rozwoju podbabiogórskiej dziedziny.

W tej chwili cały ten interes nie działa, nawet strona internetowa nie jest całkiem aktualna (info o pogodzie z 1.06.2008), kolejka stoi, czy może raczej wisi, a na Mosorny dociera pieszo w ciągu dnia kilkanaście osób. Jak się dowiedziałem OTN nie zapłacił za energię elektryczną więc maszyna stoi. Nie dzieje się nic. Może to i dobrze. Może wreszcie różni poprawiacze krajobrazu roztaczający przed lokalnymi działaczami wizje dynamicznego rozwoju wycofają się z niedorzecznych pomysłów. Przecież od początku istnienia OTN nie przyniósł ani złotówki czystego zysku. A miało być tak pięknie. Niech to będzie ostrzeżenie dla samorządu i pomysłodawców kolejki na Lipowską (Rysiankę), którzy już przymierzają się do budowy. Niech ostudzi to gorące głowy pomysłodawców budowy ośrodka narciarskiego z kolejką linową na Małą Babią Górę, którzy chcą wyłączyć kawał babiogórskiego masywu z parku narodowego.

A widok ze szczytu na Babią jest rzeczywiście imponujący. Z wierzchołka rozpościera się pełna panorama. Ponad Krowiarkami widać Tatry. Poza widokami na uwagę zasługuje schron – szałas, w którym turysta może nawet przenocować w wypadku nagłej potrzeby. Nie ma w pobliżu wody, ale to nie jest wielki problem Doświadczony turysta zawsze nosi wodę w plecaku. To jednak już całkiem inny temat. ■

zaproszenie

Libuchora, Husne, Różanka... - pokaz zdjęć

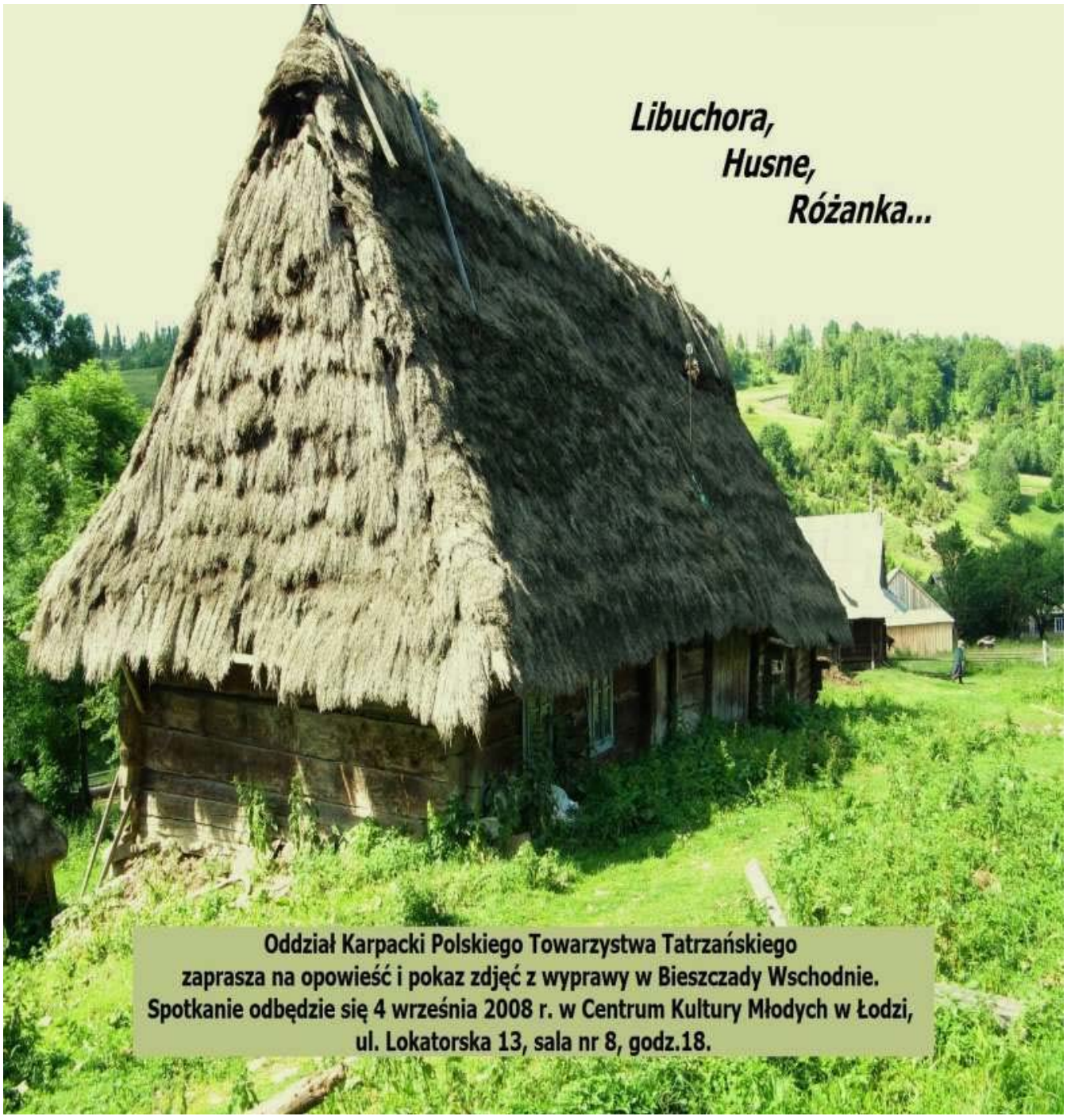

Wydaje:

Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Krakowie
redakcja: Barbara Morawska-Nowak, Szymon Baron
adres redakcji: ul. Konarskiego 21/5, 30-049 KRAKÓW
e-mail: morawska@ptt.org.pl, tel.: 0-12 634-05-89

wersja elektroniczna „Co Słychać?" jest dostępna na stronie http://www.ptt.org.pl/